

## Tel mi hał tu liw

Monodramat, tak mawiali na ojca Antoniego, wędrownego kleche, który odnalazł swoje własne ja w ruinach domów bliźnich, w ruinach ich ciał. Ojciec Antoni to postać nie tyle nawet ciekawa, co właściwie dość kontrowersyjna. Jego niesprawiedliwy dar retoryki powodował, że zamiast być częścią rozpadającego się krajobrazu, był krajobrazem samym w sobie - reszta była dodatkiem. I w tym wszystkim ojciec Antoni nie był typowo chrześcijańskim klechą, oszukiwać też się nazbyt nie można - Antoni traktował Boga jako przedmiot, jako wiatrówkę, jako młotek, traktował Boga jako niezniszczalny drut kolczasty spleciony na opuszkach palców. Sam ojciec Antoni nie mianował siebie wierzącym, nie mianował siebie tym bardziej wyznającym.

Antoni zawsze był oportunistą, niebywałym anarchistą, istnym offendi. I szlag go trafił, jak każdy zaczął taki być w nowym świecie... i nic w tym śmiesznego kurwa nie widać! Nie wiem, czy jego bunt polegał na przeciwstawieniu wartości nowego ładu, czy paradoksalnej chęci do robienia na odwrót. On profesjonalnie zajął się robieniem dobra, czynieniem go, rozsznurowywaniem dusz, rozminowywaniem ciał. Zajebista sprawa, nie?

Było fajnie, było świetnie, było kul, były dupy, była kasa i były dragi. Był święty ojciec Antoni, prorok co szmugluje alkohol, co diluje LSD pod sutanną. Tak sobie kurwa czynił dobro, skurwysyn - upajaniem społeczeństwa. Łatwiej kontrolować debili i ćpunów.

Ale najgorsza była jedna kwestia. Bowiem... ojciec Antoni miał niepotrzebny zwyczaj negliżu na fазie, na bani, na butelkowanym odlocie i świecących zębach od koki. No i się wjebał...

Bo ojciec Antoni był mutantem. Był pierdolonym ryboludziem, o plecach pokrytych łuskami, drapiącymi skórę właściwą. O plecach pokrytych łuskami, bąblami od nich, ropieniami tak cholernie palącymi jak osobne Wezuwiusze. Był mutantem o szeregu skszel na żebrach, o wystających żebrach, dwukrotnie w roku zrzucających skórę z bólem okropnym. A ból usuwał nowotwory, cywilizacje robactwa duszące się w jego trądzie, w jego grzybicy narządów płciowych i opuchniętym penisie. Usuwał tą skórę z bólem tak wielkim, jak skóra rozciągnięta na pustynnym słońcu, jak mięśnie żywe posypane solą. Dwukrotnie do roku ojciec Antoni umierał.

A potem zmartwychwstawał, obiecując sobie, że teraz będzie dobrze, że nie najebie się przed zmianą skóry, że ascetyzm weźmie górę nad człowieczeństwem... obiecanki - macanki.

Ojciec Antoni stoi w Moskwie brudnej, w Moskwie prawosławnej niegdyś, dzisiaj zabobonnej kolejny raz i kolejny raz pogańskiej tak bardzo, że ludzie boją się piorunów z nieba. Ale ojciec Antoni nie w takich butach chodził, nie z takiej miski ryż jadł. Teraz jest księdzem prawosławnym, albo jak i tak pasi to i wyznawcą Swaroga, Dziadka Mroza. Dla Ciebie złotko mogę być nawet jedynym Jezusem Chrystusem... Ojciec Antoni dużo pali. Bo on nie ma lęku o swoje płuca, bo gdyby można i było, on paliłby pod wodą, paliłby i na końcu świata, który i tak nadszedł w oczach innych. Ojciec Antoni liczy tutaj na niezły dil, na świąteczny handel bożonarodzeniowy. W plecaku miał całą numerologię, miał symbolikę i zmartwychwstanie. Jakby się i odpowiednio wkurwił, to by mógł załatwić ekskomunikę, a wtedy to masz Gomorę, Sodomę, masz z mózgu schizmę taką, że połączenia nerwowe pękają krwią. Ojciec Antoni stanął na środku rozległego, moskiewskiego targu. Teraz następowała czynność moralna, następowała czynność etyczna, następowało teraz uwielbienie ludu. Teraz była ateologiczna bibliodrama, paradoksalnie. Było poznawanie pisma, którego nie ma. Jedyne pismo ojciec Antoni miał w głowie. Bo to było pismo uniwersalne, bo Antoni miał swojego Boga, swoją fuzję poliwirtualną wszystkich relacji religijnych. BO w swojej religii on był jebanym Bogiem...

Pieprzoną demagogią, ojciec Antoni trochę rozszczepiał strukturę całego targu, zwracając uwagę tylko na siebie samego. Nie wiem, jaka zasada ciążyła na tym zjawisku, ale musiało mieć to jakiś konflikt kwantowy - czasem miło się wrażenie, że ojciec Antoni poliwymiaryzował z każdym, który go słucha. Miało się wrażenie, że mówił tylko do jednej osoby - do Ciebie.

I co kurwa gorsza, namawiał Cię do tego, żebyś ćpał. I to ćpał to, co on chciał, żebyś ćpał.

Ale to nie było tak, że ojciec Antoni był zły, inaczej nie nazywanoby go ojcem.

Teoria jego dragoterapii, polegała na odmianie dyrektyw paradoksalnych. Ojciec Antoni bowiem tworzył świadome halucynacje, które oszukiwały umysł i jakkolwiek pomagały przetrwać w tym świecie...

Świecie? HAHA! Synalefa to piękne słowo...

Budynki tworzyły ze sobą relacje, które opisałby może jakiś otoczony manią apokaliptysta, chociaż jakkolwiek wrażenie surrealistyczne było tłumione przez brud - miało się istne wrażenie, że wymiary sklejone są ogromną warstwą nuklearnego pyłu i sieci rozkładających się połączeń nerwowych z trupów zgniłych w męczarniach i plugastwie robactwa. Moskwa była półksiężycem plasteliny, ukrytym za paznokciem dziecka.

Uf... po tej patologii społecznej, po tym zepsuciu już zepsutego, ojciec Antoni zasługuje na papieroska, zasługuje na głębszego, nie ma co.

"Ojciec....". Ki diabeł niesie jeszcze jakiegoś cholernego komentatora.

"Tak, drogie dziecko?"

"Jest coś... co ojciec powinien zobaczyć...". Kobieta wygląda na nienormalną, na jakąś idiotkę pierdolniętą, którą powinno się trzymać w schowku na miotły. Tak się zdaje ojcu Antoniego i wiele się on sam nie myli. Jest zmęczona, ma obrzmiałe powieki, które odchodzą płatami zaschniętymi, pełnymi zmian dermatologicznych nowego świata.

"Tak dziecko?"

"Musi ojciec pomóc... ojciec wie co robić, to ojca praca, to ojca natura, to ojca przeznaczenie. Bo ojciec wie. ojciec sobie zdaje sprawę, ojciec musi, bo jak nie, to spadnie, przepadnie, wybuchnie, rozleje się. Tak nie można robić, tak się boję, tak boli bardzo." Histeryczka. Ojciec Antoni nie rozumiał nic. Widzi jednak, że kobieta chce płakać, a już nie może, nie potrafi, ma upośledzone spojówki, tęczówki napromieniowane.

"eh... mam nadzieje, że to nie zajmie długo, drogie dziecko..."

"Obiecuje ojca, ojcu, ojciec nie da się tak, to boli, to bardzo. To jak kruk, jak oko wydziobane, jak sroka i złoty zegarek w żołądku. To jak szczur w jelitach, tak to boli, tak to parzy, tak to nie może. Siostra moja, ona jest tam, ona tam już nie czuje, ona jego je, bo ona jest uzależniona, ona się boi to wiem, to czuję, bo to siostra moja rodzona, z rodziny, z krwi jednej i wiem, że nie lubi, ale ona jest uzależniona ona musi, to roślina, to plecha, tak nie można..."

"Spokojnie, drogie dziecko! Zaprowadź mnie tam, to załatwimy to...". Ojciec Antoni żałuje. Ojciec Antoni właściwie żałuje teraz wszystkiego - że nie skończył palić, że nie zdążył się napić, że teraz idzie za jakąś wariatką i że, do chuja, nie ma nawet komu nazwymiślać!

Ojciec Antoni miał wrażenie, że idąc po Moskwie, maszeruje po uśpionym ciełe jakiegoś giganta. Chodzi po jego żołądku, a wszystko, po czym stąpa, może zaraz się zwalić i go pochłonać, może go zeżreć i wydalić w postaci gazu, dymu, spalin fabrycznych. Bał się tego strasznie, a kolejne warstwy gruzu układały się w fałdy niezrozumiałe.

Szli niespełna 100 metrów właściwie, jeżeli ojciec Antoni dobrze policzył kroki. Kobieta rozejrzała się na boki i weszła do wysokiej kamienicy, pełnej szkła rozbitego i chmur pyłu i tynku, układających się w antycyżasteczkowego poltergeista.

Schodzili po kamiennych schodach pełnych ślimaków czy innego robactwa przyklejonego do ścian. Przyklejonego, bądź przymarzniętego w lodowych, arktycznych obrazach. Muzem prehistoryczne arachnofobii. Korytarze wyłożone samotnością i kurzem nie wyglądają inaczej niż nędznie, niż obrzydliwie, niż tak bardzo cudzo, jakby wieki jęzor w brodawkach, w śluzie swoich wymiocin spenetrował ten labirynt korytarzy. Docierają wreszcie do żelaznych drzwi mocnych, aczkolwiek wykorożjowanych, przeżartych przez rdze jak przez kwas. Ojciec Antoni z przywilejem intelektualizowania wszystkiego, nie mógł się powstrzymać od komentarza, gdy przekroczył próg rozległego pokoju.

"O kurwa."

"Ojcu tak wolno, prawda? Bo ojciec tak może i wypada, i to nie przeszkadza, bo się zmieniają czasy, bo tak teraz można, bo trzeba trafiać do wiernych, prawda? Ojcu tak wolno.". Tłumaczyła sobie kobieta, stając przy ścianie.

W samym pokoju wyłożonym obumierającą, zaszczutą, czerwoną wykładziną w kopulujących pozach gnieździło się tuzin osób, penetrujących swe choroby, swe łożyska grzybicy, swoje łożyska pełne krwi zalętej w AIDS, swoje genetyki pełne Parkinsona, Alzheimera, pełne Downa i neurofibromatozy. Bezmózgo, chimerycznie pieprzyli się, wyrzucając ślinę czarną kontrastującą z ektoplazmą spermy własnej, na dobre przyklejając siebie do rozdzwiczzonej wykładziny z wypustkami od kału, w zgrubieniach od płynów ustrojowych i moczu.

"o Kurwa...". Powtórzył ojciec Antoni.

"Ojcu tak można...", zdecydowała kobieta i szarpnęła ojca Antoniego za płaszcz jego z futrem sztucznym w konierzcu. Ojciec mijał te wszystkie pary i widział tam ludzi rozkładających się, umierających od seksu, z dłońmi pełnymi jadu trupiego. Uciec chciał, daleko, bardzo, już, teraz, nagle przestał być w rzeczywistości prezentowanej, chciał świat intencjonalny, chciał teraz, kurwa. Kobieta wciska mu książkę jakąś, kurczowo trzymaną przez nieboszczyka przy drzwiach drugiego pokoju. Ojciec Antoni patrzy na tytuł, on patrzy na okładkę zjedzoną kawałek po kawałku na obiad, kolacje, na lunch. Lovecraft. Są jego mity, są jego przypowieści zwyrodniałe, chore, bezpośrednio upośledzone. Wie, że czyta się o Innsmouth, a on Innsmouth ma tutaj, ma tutaj ryboludzi, ma tutaj wszystkich bogów w kryształach, ma teraz samego Cthulhu.

"Wszyscy to intonują, wszyscy tu płaczą, bo ich Bóg umiera chyba, kaszle krwią, kaszle. On szcza też krwią i płacze krwią, choć nie ma twarzy.". Tłumaczy kobieta, bo ojciec Antoni jest jak kukła pozbawiona nitek. "I tak cały dzień, w eskstazie płaczą, w ekstazie krzyczą, się drą strasznie na drugi koniec Moskwy tej zbereżnej. Cthulhu fthang, tak bez przerwy...". Ojciec Antoni zdaje sobie sprawę wtedy, on już wie, że kobieta nie jest szalona...

...bo wchodzi do drugiego pokoju....

Proteusz z elefantozą, Proteusz w postaci antyfiguratywnej, w kolażu znaczeń, w jakimś metysażu chimerycznym, obrazobórczym Piccassie. To ma naprawdę macki, to jest groteskowym cielskiem, jest z mięśni wykutą systematyczną brzydota. To jak nieudany eksperyment z cyklu Sztuka dla Sztuki bez Sztuki właściwej. To plastelina nie uformowana, pierdolnięta na stół chirurgiczny. Ojciec Antoni nie wie, czy to ma oczy, to jest we krwi całej, to płodami jest obłożone, tymi co powstają z mitów uprawianych drogą oralną, drogą analną, każdą drogą. Najgorsze to jest to, że to oddycha.

Ojciec wymiotuje przez ładne cztery minuty potem, dalej, następnie.

A towarzyszka jego zaś siada przy kobiecie z brzuchem pełnym sody, pełnym powietrza obrzmiałego. Owiniętej wokół tego bożka pogańskiego, tej empirycznej maskary. Ale ona nie żyje już z gardłem pełnym tego robactwa właśnie żółtego, czerwonego, fioletowego na strunach głosowych. Z glistami pod skórą falującą i siną. Ale kobieta głaszcze ją po głowie, cieszy się, że ją widzi. Prosi ojca o ostatnie namaszczenie, może o egzorcyzm, o komunię świętą. Ale w tym momencie cielsko ejakuluje żółcią na sufit, na podłogę i wszędzie.

Ojciec Antoni właściwie już umarł dawno psychicznie.

W psychologicznym sensie, jego percepcja nie zdolna była podołać projekcji układu nerwowego. Szaleństwo, czy psychoza to kwestia umowna w tym przypadku właściwie.

Kobieta teraz siedzi przy ścianie i głaszcze ojca Antoniego, przytula go do swoich piersi pełnych laktacyjnych wrzodów, pełnych ropy żółtej i gęstej. Apoteoza mutacji, mawiają...

**Alkus**